

## Pieśń Zguby, 2006

Mówi się, że broń wykonana doskonale ma duszę, jak człowiek. Wielu z nas powtarza to powiedzenie, nie wiedząc, że jest ono w istocie głęboko prawdziwe. Z drugiej strony, ludzie zdają sobie sprawę z tak niewielu rzeczy... Czego jednak można oczekiwać od ludzi – przedstawicieli gatunku, który jest tak fascynująco niedoskonały i ograniczony?

Człowiek, boska iskra, rozpaczliwie i beznadziejnie poszukująca sensu Istnienia przez całą swą historię; przez długie wieki rozwleczone w nieskończonej linii pokoleń. Jego wysiłki pozostają jednak daremne. To beznadziejne poszukiwanie trwa od czasów na pół świadomych australopiteków po dni, w których sięgnął wzrokiem nawet w głąb kwarków - cząstek elementarnych, tak małych, że nie potrafią istnieć samodzielnie, lecz zmuszone są wirować splecione w szalonym, wiecznym tańcu. Czyż nie jest paradoksem godnym łacińskiego epigramatu, że człowiek potrafi dostrzec coś, co jest tylko emanacją niewidzialnej fali prawdopodobieństwa, a nie przybliżył się nawet o krok do odpowiedzi, czym jest jego własna dusza?

Każdy ma prawo do własnej odpowiedzi na to pytanie. Dlatego setki poetów, filozofów, władców i kapłanów szukało - i znajdowało – rozwiązania. Jedno i wszystkie naraz. I ja także szukam, choć moje poszukiwania mają inny wymiar. Lubię filozofować w myślach, jadąc wieczorem miejską obwodnicą. Lubię bawić się budowaniem ekwilibrystycznych figur, spinających pojęcia i fakty. Byt i Niebyt. Abstrakt i Konkret... Z głośników sączy się smętny blues jakiegoś zapomnianego, niespełnionego artysty; sznur światła rozświetla deszczową, nocną wilgoć. A ja delikatnym ruchem prowadzę mój anonimowy samochód pośród setek innych, równie anonimowych aut, w których siedzą zabiegani biznesmeni, samotne matki i rozpaczliwie codzienni mężowie. Współczuję im i jednocześnie zazdroszczę. Tak jest właśnie w tej chwili, choć już niedługo pozostawię gwar miasta za sobą i zaparkuję na żwirowym podjeździe przed moim domem.

Kiedy myślę o miejscu, które obrałem na swoje mieszkanie, zawsze zastanawiam się, co mówią na mój temat sąsiedzi – o ile w ogóle mówią. Moje lokum mieści się bowiem w miejscu, w którym wysoko ceni się dyskrecję, a drobne ekstrawagancje nie są powodem do parweniuszowskich plotek. Dom, który kilka lat temu kupiłem należał do

niespełnionego, młodego architekta, który zmuszony był realizować swoje śmiałe, czasem wręcz surrealistyczne koncepcje we własnych wnętrzach. Niewiele osób gotowych było zamówić projekt u autora, który prowadził schody donikąd, albo stawiał metalowe ogrodzenie przez środek pokoju. Symetria, prostota czy utylitaryzm były dla niego tylko pustymi frazesami, którym nadawał nowe znaczenia gdzieś w otchłaniach swojego umysłu. Nie wiem, czy był geniuszem, czy szaleńcem i nie obchodzi mnie to. Wystarczy, że wnętrza domu mnie inspirują, choć oczywiście zacząłem już nadawać im własne kształty. Na przykład wielki, echorodny hall stylizowany na gotycką katedrę jest w całości moim pomysłem.

Lubię ten dziwny chłód posadzki... wyniosłość kolumn strzelających ku górze, przywodzących na myśl pnie smukłych drzew lub ludzkie ręce wyciągnięte znad ziemi w rozpaczliwej próbie uchwycenia Nieba. Każdy krok wywołuje tu miliony cichnących stuków, jakby wszystko to, co uczynimy, rzucało nieskończone cienie na odległe, obce światy. Każdy głośniejszy oddech budzi tu z uśpienia szepczące głosy, kryjące się w ciemnościach płochliwych cieni.

Wydawać by się mogło, że - tuż poza kręgiem światła rzucanego przez świece - dziwne, niewidzialne istoty cierpliwie czekają... na co? Wielu ludzi czuje się tu nieswojo, gdy źródłem budzącego echa dźwięku nie są oni sami, lecz jakiś przypadkowy szelest - choćby skrobanie drobnych nóżek jakiegoś zabłąkanego szczura. Wtedy przystają w ciszy, oglądając się za siebie, lecz pustka i samotność, którą widzą budzą w nich nieokreślone lęki, a spokojna toń duszy marszczy się pod dotknięciem Nieznanego.

Ja jednak lubię to ciche, choć niespokojne miejsce, które wygląda jakby iluzja rzeczywistości była w nim tak delikatna, że może ją zerwać nawet kaprys woli. Katedralny hall to jednak jedyna większa modyfikacja, którą jak dotąd udało mi się zrealizować. Moje wizje rozciągają się zwykle w czasie i nie robię niczego pochopnie. Jestem jak rzeźbiarz, który w skupieniu i z szacunkiem patrzy na rosnące jeszcze drzewo, nie sięgając po narzędzia, lecz w myślach nadaje mu jednak już kształt, skrywający się na razie przed wzrokiem niepowołanych profanów.

Lubię myśleć, że pod moim skromnym okiem mój dom zyskał swój własny charakter - przy zachowaniu oryginalnego wystroju. Trudno mi ocenić, czy jest tak w istocie, bo rzadko zdarza mi się kogoś gościć - a jeszcze rzadziej, wymieniać opinię na temat architektury. Jednak, jak każdy twórca, mam nadzieję, że moje dzieło jest w jakiejś mierze niepowtarzalne. Jest to jednak w tym szczególnym przypadku o tyle trudniejsze, że pierwotny budowniczy wywarł na budynku silne - wręcz niezatarte piętno i teraz stanowi on wspólne dziecko naszych pragnień, wizji i umysłów. Choć z drugiej strony niecodzienny umysł ekscentrycznego projektanta pewnie określiłby moje projekty mianem pretensjonalnych i płytkich.

Przeciętnej osobie moje siedlisko wyda się zapewne zupełnie pozbawione walorów użytkowych. Kręte korytarzyki, zaskakujące połączenia przestrzenne i niepokojący miszmasz form i materiałów sprawia wrażenie, jakby zamysłem autorów było połączenie wielu różnych mód i stylów. Jeśli wyobrazicie sobie impresjonistyczny pejzaż gotyckiego, średniowiecznego kościoła namalowany sprayem przed dadaistę pod wpływem postmodernistycznych narkotyków, to uzyskacie pewien obraz mojego wnętrza. W każdym razie w moim otoczeniu widać takie zróżnicowanie elementów należących do wszystkich epok, jakby autor był świadkiem ich wszystkich - i jakby do żadnej z nich nie przywiązywał większego znaczenia.

Szczególną przyjemność sprawia mi oświetlenie. Udało mi się całkiem zgrabnie połączyć specyficzny, ciepły i migotliwy blask świecy z alienacyjną wszechobecnością sztucznej, rozproszonej poświaty lamp jarzeniowych. Wszystko to sprawia, że cienie w moim domu wydają się padać jednocześnie w różnych kierunkach i wzajemnie się przenikając zapraszają do zbadania tajemnic różnych zakamarków i korytarzyków. Tych ostatnich jest tu tak wiele, że ktoś kiedyś porównał ten dom do rozdętej jak ego architekta, monstrualnej termitiery. Zresztą, jak sam zauważyłem, dom wewnątrz wydaje się być znacznie większy niż wskazywałyby na to jego wymiary zewnętrzne. Czasem zresztą łapię się na myśli, że tak jest w istocie.

Ulubionym miejscem w moim niecodziennym domu jest niepowtarzalny, oszklony pokój na tarasie, stanowiący najwyższy punkt mojej posesji. Roztacza się stąd wspaniały widok na okolicę, no i oczywiście w górę, ku bezkresnemu niebu. Gdy czuję, że brzemię

trosk codzienności przytłacza mnie zbyt potężnym ciężarem, czekam na atramentowo czarny spokój nocy i wspinam się po krętych, metalowych schodach ku mojej samotni. Przechodząc przez kute z ciężkiego brązu drzwi, odcinam się od wszystkiego, co kłębi się poniżej. Potężne, zbrojone szyby ochraniają mnie przed szumem morza i gwarem pobliskiego miasta. Jest wówczas cicho; tak cicho, że brak jakiegokolwiek dźwięku mógłby się stać nieznośny dla osoby, która nie jest do tego przyzwyczajona. W takiej ciszy zapewne Bóg myślał kiedyś nad stworzeniem świata.

W takich chwilach potrafię nagle przenieść się z pędzącego na oślep świata i stanąć obok niego. Zachwyam się pięknem rodzącej się godzinami kropli, która gromadzi się na powale, narastając, pęczniejąc, puchnąc, by za jakiś czas oderwać się od sufitu i przebyć swój ostatni lot. Jakże piękne są milczące refleksy światła obłądnego miasta, rzucone na cierpliwie spokojną powierzchnię tej odrobiny wody. Jak wiele czasu trzeba spędzić, aby dostrzec, zrozumieć i pokochać ten fenomen – i jak szybko ów czas przemija.

W samym środku pokoju jest miejsce, w którym leży stary, perski dywan, na którym kłębią się niezrozumiałe dla osób postronnych zawijasy arabskich napisów. Siadam wówczas - lub nawet kładę się na wznak i spoglądam w niebo. Widzę miliony gwiazd na firmamencie i natychmiast odnajduje się w krainie spokojności. Stan, jaki mnie ogarnia, sprawia, że potrafię przenieść się umysłem ku nieskończonym, odległym światom, przez puste i zimne jak Niebo szlaki, ku gwiazdom - rozgrzanym jak Piekło. To kolejny dowód na to, jak wielka jest przewaga Ducha, który nie zna granic, nad Ciałem, które zamknięte jest w materialnej, kruchej i ułomnej skorupie.

Jadąc powoli ulicami miasta, marzyłem o moim domu, a światła samochodów były jak przesuwane się obok leniwie odległe, niegasnące słońca. Droga dłużyła się niemiłosiernie, ale czas jest podobno tylko złudzeniem - przynajmniej tak mawiają niektórzy filozofowie. W końcu jednak zjechałem z trasy, a droga zrobiła się kręta i wyboista. Jak mały, czarny żuk wspinałem się mozolnie ku górze, gdzie wyrastając wysoko nad miastem czekał mój dom, samotny i wyniosły.

Kiedy samochód minął rozsuwającą się bezszelestnie bramę, moje serce przeszło dziwny, nieokreślony niepokój. To uczucie było trudne do zdefiniowania, uchwycenia,

ale wyraźnie poczułem, że coś było nie tak. Moje długie życie nauczyło mnie nigdy nie lekceważyć takich przeczuć. Zatrzymałem wóz i zgasiłem światła. Ciszy nocy nie mąciło nic prócz dalekiego przyboju i dźwięków jakichś nocnych stworzeń, krzątających się w sobie tylko znanych sprawach pod osłoną ciemności. Miałem nieprzyjemne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, a zza każdego cienia wysuwają się jakieś ulotne kształty, jakby pragnąc mnie pochwycić niewidzialnymi rękami.

Opuściłem bezpieczne, ciepłe wnętrze samochodu i z wahaniem ruszyłem w kierunku domu. Powietrze pachniało chłodem i wilgocią. Podeszedłem do drzwi frontowych, dotknąłem ich dłonią. Otworzyły się cicho, ujawniając pogrążony w mroku korytarz – a przecież z całą pewnością nie zostawiłem ich otwartych. Miałem wrażenie, że czuję jakiś ulotny, nieuchwytny zapach - korzenny, orientalny, jakby przeszła tędy osoba używająca ekskluzywnych perfum. Wciągnąłem głęboko powietrze, próbując rozpoznać dziwną woń. A może to jednak moje zmysły wymykały się spod kontroli? Może mieszkanie w domu zbudowanym przez szaleńca zaprowadziło mnie na drogę, z której nie można już wrócić? Czy to wiatr na zewnątrz pieści liście wysmukłych drzew, czy też w powietrzu słychać delikatny szept? Odetchnąłem głęboko, aby uspokoić bicie serca. Dlaczego tu jest tak cicho?

Pierwszego psa znalazłem zaraz za zakrętem korytarza. Ukląknęłam przy nim i ze smutkiem dotknąłem jego ciała. Było już zimne. Wielki, czarny wilk skonał zapewne kilka godzin temu. Do końca bronił domu swojego pana, ale trzy rany po pociskach były zbyt ciężkie nawet dla jego niespożytych sił. Poczułem ucisk w gardle.

- Garm, stary przyjacielu ... – szepnąłem.

Dwa następne psy padły przed schodami prowadzącymi na górę. Złodzieje – musiało być ich kilku – nie dali im żadnych szans. To musiał być jakiś wielkokalibrowy pistolet; świadczyły o tym potworne dziury w ciałach moich wiernych strażników. Czego szukali? Kto ośmielił się wtargnąć do tego domu, do którego wcale nie było łatwo trafić? I co było celem jego wyprawy? Nagle poczułem, że znam odpowiedź. Ktoś tak przygotowany mógł wiedzieć nawet o rzeczach, których istnienie starannie skrywałem przed światem.

Ogarnięty przemożnym lękiem w dwóch skokach przebyłem schody. Prawie biegiem wpadłem do pokoju, w którym trzymałem najcenniejsze eksponaty mojej prywatnej

kolekcji. Migotliwy, tajemniczy blask świec nadawał pomieszczeniu nieziemski wygląd. Kątem oka widziałem jak chwiejne cienie tańczą na ścianach w dziwnym, niepokojącym tańcu. Wielkie, ciemne i postrzępione powierzchnie nadawały stojącej tu potężnej, renesansowej zbroi wygląd uskrzydłonego demona. Arabska maska zabójcy wisząca na ścianie wykrzywiła się w groteskowym grymasie. Kamienny anioł wyciągający groźnie ognisty miecz patrzył obojętnie w przestrzeń. W pierwszej chwili odczułem ulgę, że żadna z ochronnych, szklanych gablot nie jest naruszona, ale jedno spojrzenie na ścianę upewniło mnie, że ulga była przedwczesna.

Obraz przedstawiający kuźnię wikińskiego płatnerza był zdjęty i delikatnie postawiony przy ścianie. Włamywacz starał się nie uszkodzić cennego płótna, mimo, że było ono setki razy mniej warte niż zawartość sejfów, który przykrywało. Podłużny, chroniony masywnymi drzwiami i najnowszymi alarmami schowek był otwarty, a jego środek ział groźną pustką. Zakląłem. Stało się. Dziwnie uspokojony – a może przytłoczony implikacjami straty - oparłem się o ścianę i zapaliłem papierosa. Zamyśliłem się.

\* \* \*

Była to niewielka, zapominana przez ludzi osada położona na krańcu świata – a może nawet już po za nim. W przysypanej zwałami śniegu kuźni pracował samotnie kowal. Był starym człowiekiem, a w tych czasach niełatwo było dożyć wieku dojrzałego. Jego ręce były jeszcze silne, ale oczom brakowało już precyzji. Mimo to zapamiętał uderzał potężnym młotem w kawał rozgrzanego żelaza. Jego ruchy były miarowe i pełne siły jak uderzenia serca, gdyż ręce mężczyzny prowadziły uczucia prawie tak gorące jak jądro paleniska. Nazywał się Jorg Breggson, ale wszyscy wołali na niego Jorg Galning, co znaczy Szaleniec. Odważniejsi, którzy nie lękali się olbrzymich pięści, czasem nawet mówili, że jest dzieckiem Lokiego, złośliwego i potężnego boga oszustwa i śmierci. Tego samego, który miał rozpocząć Ragnarok, ostateczną bitwę końca świata i Zmierzch Bogów. Opowieści o boskim pochodzeniu Jorga wzmacniało fakt, że przybył on do osady pewnego burzliwego dnia, gdy nawet najbardziej brawurowi żeglarze lękaliby się wyruszyć w morze, a jego wybuchowy i nieokiełznany charakter wydawał się idealnym odzwierciedleniem mrocznego boga.

Był mroźny wieczór. Wokół szalała burza śnieżna, a północny wiatr potępieńczo wył w pośród lodowych zasp. W taki dzień wszystko jest możliwe, a wrota Nilfheimu, lodowego piekła rządzonego przez Hel znajdują się niebezpiecznie blisko świata żywych. Może dlatego właśnie tego dnia Jorg poczuł, że jego życie dobiegło końca. Już od wiosny czuł się słabo, a suchy, zrywający płuca kaszel stał się nieznośnie bolesny. Wiedział, że zbliża się kres i nie mógł zrobić nic, aby go oddalić. A dziś obudził się z dziwną, niezachwiana pewnością, że ogląda ostatni świt na tym świecie. Po raz ostatni rozpałił więc wielkie palenisko i rzucił na nie z dawna przygotowane na tę okazję żelazo. Świadomość bezsilności napawała go wściekłością i zimną, rozpaczliwą nienawiścią. Nie wiedział zresztą, przeciw komu ją kieruje. Może ku okrutnym i nieczułym bogom, a może po prostu ku współmieszkańcom, którzy na przekór jego agonii sposobili się ku weselu i radości. Mimo wycia wichru i uderzeniom młota raz po raz dochodziły go dźwięki wesolej muzyki z pobliskiego domu, w którym młoda dziewczyna właśnie brała ślub ze swoim kochankiem. Wszyscy mieszkańcy wioski zgromadzili się wokół nowożeńców, wśród śmiechów i pijatyki dzieląc się wzajem swymi radościami i smutkami. Wszyscy, poza nim. Och, nawet gdyby ktoś go zaprosił, i tak by nie przyszedł. Gardził głęboko otaczającymi go ludźmi, mierzyły go ich codzienne troski i uciechy. Ale taki brak szacunku, jaki mu okazano, był okrutną, bezduszną obelgą, jeszcze bardziej znieważającą niż ukradkowe, pełne litości spojrzenia rzucone ku niemu, gdy bezskutecznie próbował opanować spazmy zbolałych płuc ...

Uderzenia młota były dźwięczne, jakby materiał odpowiadał swoim własnym głosem na skłębione myśli płatnerza. Kowal przyjrzał się mu z zadowoleniem, pełnym swoistej dumy, jak ojciec przyglądający się dziecku, które po raz pierwszy staje na własnych nogach. Jorg wiedział, że jest znakomitym rzemieślnikiem. Broń, którą wyrabiał była wysoko ceniona i poszukiwana, choć on niewiele dbał o wdzięczność ludzi, którzy władali orężem, wychodzącym spod jego ręki. Dla niego najważniejsze było własne mistrzostwo i doskonałość. Nic nie sprawiało mu większej satysfakcji, niż wydarcie bogom kolejnej tajemnicy wytopu i obróbki metalu. Gdy wspinał się na wyżyny swojego fachu, czuł, że jest im równy. Tym bogom, którzy sprzeniewierzyli pokładane w nich zaufanie, nie pozwalając, by zginął w boju, jak przystało mężczyźnie. Nie dla niego miała być wieczna chwała Valhalli, na niego czekało zimne pustkowie Nilfheimu, którym władała posępna córka Lokiego, Hel.

Nigdy nie zależało mu na opinii ludzi. Choć z drugiej strony, szacunek, pomieszany z na wpół ukrywanym lękiem, jakim go darzono był mu bardziej miły, niż gotów to był przyznać. Zresztą, jeśli miał dziś umrzeć, to już nie miało znaczenia. Cała jego chciwie zgromadzona wiedza przepadnie wraz z nim. Pozostać miały po nim tylko jego wyroby, jako obiekt gryzącej zawiści tych, którzy będą chcieli tak jak on poświęcić się sztuce kształtowania metalu. Ten miecz miał zaś być największym jego dziełem. Tworem, w który włoży całe swoje serce.

Żelazo było materiałem twardym jak on sam. Potrafił je jednak kształtować, naginać do swojej woli. Było w tym coś mistycznego, odwieczna tajemnica, która w tym świecie decydowała o życiu człowieka. Miecz czy topór były przedłużeniem egzystencji, a władający nimi mężczyźni szanowali je i opiekowali się nimi nie gorzej niż członkami własnej rodziny. Wiele sztuk oręża nosiło własne imiona, zupełnie jak żywe istoty. Wyciągnął podłużny kształt z paleniska i wzniosł go ku górze, sypiąc wokół iskry, które z sykiem konały na nierównej podłodze. - Jaki będziesz, mój mieczu? – powiedział głośno, obserwując grę barw na powoli ciemniejącej klindze – Mieczu, będący najdoskonalszym z moich dzieł. Jedyne, godne nazwania moim dzieckiem. Co jeszcze trzeba ci dać, aby uczynić cię naprawdę niezwykłym?

- Daj mu swoją duszę – usłyszał głos zza pleców.

Jorg obrócił się i wyciągnął niedokończony, nadal rozgrzany do czerwoności miecz w kierunku, z którego dobiegł głos. Kto śmiał wtargnąć bez zaproszenia do jego świątyni?

- Kim jesteś, przybłądo? – warknął groźnie.

Przed sobą ujrzał wysoką postać ubraną w futrzany płaszcz z kapturem. Obcy nie miał broni, a ręce skryte w łuskowych rękawicach trzymał swobodnie, nie przejmując się zupełnie napastliwością kowala. Co jednak najdziwniejsze, na stroju przybyłego nie znać było nawet śladu śniegu, choć za oknami szalała śnieżycą, jakby Thor rzucił dziś wszystkie swoje siły dla wywołania zawiei.

- A gdybym ci powiedział, że jam jest Loki Asa, którego twoi pobratymcy zwą Władcą Burz?

Jorg wykrzywił twarz w ponurym uśmiechu.

- Nie wierzę w bogów, włóczęgo. I ty też chyba nie, skoro nie boisz się podawać za jednego z nich.



- Skoro tak wolisz... – uśmiechnął się nieznajomy – Ale przynajmniej uznaj mnie za kogoś, kto może spełnić twoje pragnienie, aby tę broń uczynić doskonałą. Wierz mi, że jestem to w mocy uczynić.

Jorg popatrzył przeciągle na dziwną osobę. Było w nim coś, co kazało mu potraktować jego słowa poważnie. W końcu powoli, niechętnie opuścił miecz.

- A czego chcesz w zamian?

- Niewiele. Pozwól mi nadać imię temu mieczowi.

Jorg popatrzył na przybysza. Coś mówiło mu, aby wbił ten niegokończony oręż prosto w jego pierś. Ale ciekawość i pokusa była silniejsza. Stary kowal skinął głową.

Pracowali razem, bez wytchnienia i bez niepotrzebnych rozmów. Obcy okazał się zręcznym pomocnikiem, bez słów rozumiejącym, co trzeba zrobić. Był też nieludzko silny – potrafił sam pracować potężnymi mieczami, które dwóch mężczyzn z trudem potrafiło poruszyć z miejsca. Jorg zauważył to, ale nic nie powiedział. Nieznajomy tylko uśmiechnął się, jakby doceniał małomówność kowala, która wyrażała więcej niż ubrany w czcze słowa podziw. Pracowali więc dalej, a Czas wokół nich jakby zatrzymał się. Ognisko huczało płomieniem, choć oni ani razu nie dorzucili drewna. A jednak płonęło, jakimś dziwnym, niebieskawym ogniem.

Żelazo, nad którym pracowali dźwięczało też jakoś inaczej, jakby poddając się złączonej we wspólnej pracy woli obu mężczyzn. Jorg niechętnie przyznał w duchu, że w ich dziele było coś niepokojąco nienaturalnego, czy wręcz mistycznego, ale wzruszając ramionami uznał, że przynajmniej pozostawi po sobie coś, co będzie tego warte. Zanurzyli się więc znowu w wir kucia i stapienia, kształtowania i hartowania. Czas płynął, ale oni dwaj jakby tego nie zauważali, oddani całkowicie dziełu, które ich pochłoneło i zafascynowało. W końcu miecz był gotowy w swojej ostatecznej formie. Jorg siadł zmęczony u stóp zimnego już paleniska, czując się tak, jakby całe swoje siły przelał w żelazne ciało broni. Przy każdym oddechu, jego płuca rzeziły i z ulgą pomyślał, że nadszedł w końcu czas na odpoczynek.

- No, to jeszcze tylko trzeba wykuć imię – mruknął, spoglądając na broń. Była rzeczywiście doskonała. Wydawała się lśnić własnym blaskiem, jakby dumna z nienagannej linii swojego ostrza.

- Ja to zrobię – odrzekł nieznajomy - Runami, których nic nie zamaże, nawet Czas.  
- Nie wiem, czy jesteś wystarczająco potężny, Nieznajomy, by mierzyć się z Czasem. W każdym razie ja tę bitwę przegrałem – zaśmiał się Jorg, choć szybko jego chichot przerodził się w paroksyzm naznaczonego bólem kaszlu. – No, ale jeśli twierdzisz, że potrafisz uwiecznić imię broni, to ten miecz na pewno jest tego wart.

Wstał z trudnością i spojrzał na kuźnię. Czuł się stary i zmęczony, wypalony jak zimne palenisko. Wszystkie inne uczucia i emocje odpłynęły z niego. Nie był nawet pewien, czy pamięta ich smak.

- Skoro skończyliśmy pracę, to stary kowal tylko jedno jeszcze może dać temu ostrzu – westchnął – Pomożesz mi? Jestem już taki zmęczony ...

Nieznajomy skinął głową. Wyciągnął miecz i popatrzył kowalowi w oczy. Uśmiechnął się przelotnie, po czym wbił ostrze w piersi jego twórcy. Ten szarpnął się i w wysiłkiem chwytając klingę, pociągnął miecz głębiej. Z ust pociekł mu strumyk krwi.

- Jego Imię... - wyszeptał ostatkiem sił - zdradź mi...

- Salskepnasverd – usłyszał, zanim otoczyła go ciemność – Salskepnasverd. Zguba Dusz.

\* \* \*

Papieros dopalił się ciemnym błyskiem końcówki żaru, a ja wciąż stałem zapatrzony w odległą przeszłość. Tak, Salskepnasverd był mieczem niezwykłym. Przez długi czas śledziłem jego historię, drążąc starożytne manuskrypty, szukając wzmianek o nim w legendach i zapomnianych sagach. Tropiłem jego drogę przez lata zamierzchłej historii z pasją, jaką myśliwy podąża szlakiem najcenniejszego zwierzęcia. Nawet najlżejsze echa informacji, na jakie udało mi się natknąć, były dla mnie niczym światło latarni na wzburzonym morzu. Zguba Dusz zmieniał często właścicieli, jakby kierowała nim własna, kapryśna wola. Żaden z jego posiadaczy nie kwapił się też specjalnie, aby pozostawić zbyt wiele śladów. A jednak miałem wrażenie, że przez otchłanie czasu Zguba Dusz przyzywa mnie, jakby chciał być odnaleziony. Kiedy na jakiś czas zawieszałem moje poszukiwania, zauważałem, że obraz miecza natrętnie pojawia się w

moim umyśle, jak wizja utraconej kochanki. Prawie fizycznie słyszałem jak woła mnie, syrenim głosem dźwięczącej stali. Pieśń Zguby towarzyszyła mi za dnia i w nocy, dopóki, zmęczony, nie wracałem do poszukiwań. Wtedy milkła, odchodziła jak ból zęba, przynosząc jednocześnie ulgę i frustrację, gdy moje próby odnalezienia jakichkolwiek śladów znowu zawodziły. Wtedy chciało mi się wyć z rozpacz, a w bezsilnej wściekłości na własną niedoskonałość słyszałem wyraźnie echo uczuć, które targały twórcą broni.

Nie próbowałem z tym jednak walczyć, choć zdawałem sobie sprawę, że takie myśli nie są do końca odbiciem jedynie moich własnych pragnień. W końcu udało mi się połączyć wszystkie nitki i połączyć je w biegnącą przez mroczne stulecia linię Ariadny - na tyle pewną, że udało mi się przejść przez zagmatwany labirynt losów broni. Odnalazłem z dawna zapomniane ostrze.

Kiedy ujrzałem je po raz pierwszy, wydawało mi się zwykłą bronią, ale moje studia upewniły mnie ponad wszelką wątpliwość, że Salskepnasverd nie jest zwykłym mieczem. W dodatku pamiętałem o Pieśni, którą wabił mnie ku sobie. Na szczęście jednak nie byłem tak do końca zwykłym poszukiwaczem antyków i zanim położyłem ręce na rękojeści tajemniczej broni, przygotowałem się odpowiednio. W końcu, po wielu przemyśleniach, umieściłem Zgubę Dusz we własnym domu, z dala od ciekawskich oczu i pożądlivych rąk, zabezpieczając przed obcymi. Same instalacje alarmowe kosztowały fortunę, nie mówiąc już o blokadach i samym sejfie. Jak jednak się okazało, moje wymyślne zabezpieczenia okazały się dla kogoś dziecinną igraszką. W dodatku straciłem oddanych przyjaciół, aczkolwiek to akurat mnie nie dziwiło - cała historia miecza była pełna plam zaschniętej krwi.

Zmrużyłem oczy, wsłuchując się w tajemny puls mego domu. Każda taka budowla żyje własnym, niedostrzegalnym życiem. Tajemnicze szepty, skrzypienia podłogi, po której nikt nie chodzi, falowanie powietrza - ktoś, kto mieszkał w takim domu, wie o czym mówię. Jakie wydarzenia rozegrały się tu podczas mojej nieobecności? Usiadłem, oparty o ścianę i spróbowałem przywołać obraz wydarzeń, do jakich tu mogło dojść. Czy to złudzenie, fantasmagoria zwichrowanego umysłu, czy też przed moimi oczami pojawiły się zamazane cienie dwóch ... nie - trzech osób. Nie widziałem twarzy, wszystko było jak zasłonięte szarym całunem. Ale chwyciłem trop.

Musiałem wykorzystać wszystkie sposoby i kontakty, by dowiedzieć się prawdy, z ułamków rzeczywistości poskładać jednolity obraz. Było ich troje – współnicy, których połączyło zamiłowanie do luksusu i emocji. Poznali się dawno, jeszcze w czasie studiów na jednej z tych renomowanych, prywatnych uczelni, z których ten kraj jest tak dumny. Lubili adrenalinę i byli od niej uzależnieni. Nie kradli z chciwości. Złodziejski fach był dla nich raczej sportem niż zawodem. Trudnili się podobnym procederem od wielu lat, wyszukując i zdobywając cenne dzieła sztuki – najczęściej od prywatnych kolekcjonerów. Kobieta była przywódczynią, oni dwaj jej współnikami. Razem stworzyli zgrabne trio, żyjące poza nawiasem społeczności, samowolnie odsuniętych poza kryteria dobra i zła.

Minęły trzy dni, zanim ustaliłem, gdzie przebywają. Wynajęty przez nich podniszczony, stary dom znajdował się w tej samej dzielnicy, co mój. Tak blisko... Przypadek? A może subtelny wpływ Pieśni?

Czy Salskepnasverd nadal tam się znajdował? Czułem, jak moja krew wypełnia się ciężkim strumieniem nienawiści, głuchej i zapamiętałej jak wiatr, który przepętniał świat w owym dniu stworzenia miecza.

Nie mogłem czekać. Tej samej nocy, gdy dowiedziałem się, gdzie przebywają złodzieje, udałem się po swoją własność. Kryjąc się w cieniu, stanąłem przed zaniedbanym, choć nadal ładnym domem. Otoczony niewielkim ogrodem, oświetlony jedynie blaskiem księżycy wydawał się być pogrążonym w uśpieniu stworem, jak stare dworzyszczka z mrocznych opowiadań Edgara Allana Poe. Wrażenie to pogłębiała asymetryczna konstrukcja, dzięki której budynek wydawał się chylić ku jednej stronie, niby śpiący pod skałą niedźwiedź. Staromodne, wysokie i wąskie okna były ciemne, z wyjątkiem jednego znajdującego się na piętrze, w którym delikatnie chybotał się ciepły, żółtawy poblask. W powietrzu czuć było delikatny, jałowcowy posmak dymu, tak charakterystyczny dla tradycyjnych, wykonanych zgodnie z dawnymi technikami kominków.

- Zapomniana ulica, zapomniany dom – przemknęło mi przez myśl.

Powiał zimny wiatr, więc zebrałem poły płaszcza i podszedłem do parkanu otaczającego posesję. Uschnięty bluszcz, który go kiedyś obrastał, kruszył się w pył pod moim dotykiem. Stalowe pręty ogrodzenia zaskrzypiały pod moim ciężarem, gdy przeskoczyłem parkan i wylądowałem po drugiej stronie. Dotknąłem dłońmi ziemi, wilgotnej i pokrytej spadłymi dawno liśćmi. Uderzył mnie zapach rozkładu i pleśni, przywodzący na myśl wspomnienie zapomnianego cmentarza.

Podszedłem do drzwi. Nie były zamknięte, więc pchnąłem je lekko i ostrożnie stąpając wkroczyłem do środka. Wnętrze domu było utrzymane w eleganckim, choć nieco staromodnym stylu. Wyłożone ciemną boazerią ściany tłumiły odgłos kroków. Wspiąłem się ostrożnie na schody i znalazłem się w obszernym korytarzu. Przede mną były drzwi, za którymi miałem nadzieję odnaleźć to, po co przyszedłem. Odetchnąłem głośno i pchnąłem je pewnym ruchem. Znalazłem się w dużym, eleganckim salonie. Panował tu lekki półmrok, bowiem jedynym źródłem światła był niewielki ogień tańczący po ułożonych w kominku grubych, ciężko ciosanych polanach.

Rozejrzałem się powoli. Siedziała w wysokim, skórzanym fotelu, wystukując smukłymi, eleganckimi palcami takt delikatnej muzyki rozbrzmiewającej gdzieś w tajemnych zakamarkach jej duszy. Ciemne, doskonale dobrane ubranie podkreślało delikatność jej kształtów. Na podłodze stał wysmukły kieliszek wypełniony czerwonym winem, choć butelki nie mogłem nigdzie dostrzec. Przy pobliskim stole siedział mężczyzna, w eleganckim garniturze Armaniego. Śnieżnobiałą koszulę, która z całą pewnością była wytworem najlepszego krawca, szpeciła wielka plama zaschniętej krwi, oznaczająca miejsce, gdzie jakiś czas temu biło jego serce. Drugi z jej współników leżał opodal, z szeroko rozrzuconymi rękami, w groteskowo makabrycznej pozie, jak zrywający się do lotu ptak. Morderczy cios trafił go w plecy, prawdopodobnie wtedy, gdy próbował salwować się ucieczką. Dwaj ludzie, dwaj współnicy, dwaj przyjaciele siedzącej kobiety.

Obaj byli martwi. Salskepnasverd. Zguba Dusz.

Popatrzyłem na nią. Była szczupła, elegancka, subtelna, choć wiedziałem, że pod delikatnym strojem kryją się stalowe mięśnie. Miała ładną twarz i duże, czarne i tajemnicze oczy. Jej uroda przywodziła na myśl coś z surowości i zimnego piękna anioła,

choć ciemny strój i ostre linie jej rąk nasuwały bardziej demoniczne skojarzenia. A więc też anioł – tylko upadły? Piękny i kuszący jak ciemność? A może ku takim myślom pchnęły mnie jej oczy, szerokie, lekko skośne, w których tlił się dziwny blask?

Przez chwilę wydawało mi się, że to może odbicie płomienia, który tlił się w głębi kominka, ale kiedy leniwym, spokojnym ruchem podniosła wzrok, a nasze spojrzenia skrzyżowały się, dostrzegłem w ich głębi coś więcej. Echo silnego ducha, Poszukiwacza i Kreatora, który płonie, wiecznie spalając się w okowach ciała. Oto piękne Ciało – i piękny Umysł, spojone w jednej, doskonałej Formie. Na jej kolanach dostrzegłem srebrzysty kształt miecza – zauważyła to i na jej ustach zagościł przelotny uśmiech.

- Przyszedłem po swoją własność – powiedziałem spokojnie.

- Wiem. Ale ja też chcę ją mieć.

- Dlatego musieli zginąć? - spytałem, choć przecież znałem odpowiedź.

Przelotnie obrzuciła spojrzeniem leżące ciała. Nie dostrzegłem nawet cienia żalu na jej obliczu. A przecież ci dwaj ludzie byli jej bliscy – przez tyle lat... Ale Pieśń Zguby Duszy zmienia ludzi.

Miała głęboki głos, wibrujący aurą czegoś nieokreślonego. I była piękną kobietą. Gdybym nie wiedział, że była profesjonalnym włamywaczem, wziąłbym ją za artystkę. Chociaż nie – było w niej coś więcej, czego nie byłem w stanie opisać. Artysta to ktoś, kto wyraża abstrakcyjne piękno, nadaje kształt niewidzialnemu. Ona wyglądała jak ktoś, kto tworzy Niewidzialne. Przypominał mi się widziany kiedyś dawno posąg egipskiej kocię bogini Bast. Tak... w jej kształtach była ta sama na wpół erotyczna gibkość, zmysłowość i tajemniczość...

- Jak mnie znalazłeś? – spytała.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie chcę ci zrobić krzywdy – powiedziałem - To, co się tu stało nie obchodzi mnie. To sprawa twoja i twojego sumienia, ale ja muszę zabrać tę rzecz ze sobą. Tym razem to ona wzruszyła ramionami.

- Proszę ... - dodałem – wykradłaś z mojego domu nie tę rzecz, którą powinnaś. Jednak rozumiem, że nie chcesz mi jej po prostu zwrócić. Oferuję Ci za ten miecz dowolną kwotę. Wymień ją – i rozejdźmy się w pokoju, a ja zapomnę, że kiedykolwiek cię widziałem.

Uśmiechnęła się, a jej cudowne oczy zmrużyły się, jakbym powiedział coś zabawnego.

- Przecież wiesz, że to niemożliwe – szepnęła, a ja przez chwilę miałem wrażenie, że nie wierzy, iż kiedykolwiek wymażę ją z pamięci. Jednak, jakby czytając w moich myślach, potrząsnęła głową i przesunęła palcem po klindze miecza w wysublimowanej, delikatnej pieśszczocie – Nie oddam go za nic. Zbyt dużo zainwestowałam, aby go zdobyć. Ten miecz należy teraz do mnie.

- To nie jest zwykła broń.

- Wiem. Jest doskonała.

- Nie rozumiesz ...

- Rozumiem. Wiem.

Wstała. Wysmukła i doskonała w czarnym golfie, w obcisłych spodniach koloru najczarniejszej nocy była jak tchnienie wieczoru. Podziwiałem precyzję i elegancję jej ruchów, niezmiernie piękno jej kroków. Nieludzkie piękno.

Ostrze miecza skierowane było ku ziemi, ale niemal widziałem jak broń niecierpliwie wibruje w jej ręku. Byłem pewien, że szepcze teraz do niej, obiecując jej wszystko, czego zapagnie. A jednak opierała się mrocznemu wezwaniu...

Była tak silna, że poczułem dla niej ciepłe tchnienie szacunku. Staliśmy naprzeciw siebie, obserwując się uważnie, zastygając w niemym oczekiwaniu na pierwszy krok i rozkoszując się tą chwilą. Gdzieś za oknem życie miasta pulsowało gwarem nocnej

codzienności, a my patrzyliśmy na siebie, doceniając wzajem swoją niepowtarzalność, choć każde z nas czerpało ją z innych źródeł.

Była naprawdę nieskazitelna stojąc tak przede mną, jak odległa – ale jakże bliska – bogini. Była esencją kobiecości – słodką mieszanką tajemnicy, obietnicy i wyzwania. Poczułem, jak gdzieś w głębi psychiki rodzi się we mnie pragnienie, aby wyciągnąć do niej rękę, pociągnąć ku sobie... Czułem, jak to samo uczucie pulsuje w niej, jak słodkim, ciężkim strumieniem dociera z jej przepełnioną burzą krwią do każdej komórki jej ciała. W jej oczach zawirowała milionem refleksów gorączkowa obietnica – wzajemnego poznawania, dawania i brania – przez długie, zastygłe w czasie godziny. Stojąc kilka kroków od niej, czułem jak jej ciało przygotowuje się i spręży – dla mnie.

Wiedziałem, że ona odczuwa podobne emocje i wiedziałem, co jest tego przyczyną. A przecież, mimo tej świadomości, coś we mnie krzychało, żeby nie przerywać tej cudownej chwili, żeby napawać się jak najdłużej tym zawieszeniem, nie pozwolić, aby wszystko się skończyło. Ugasić pragnienie jedynie patrząc na naczynie z wodą ... Czy tak czuła się Ewa wyciągając rękę ku zakazanemu owocowi, zanim jeszcze jej palce poczuły wilgotną skórę grzechu?

I w tym momencie zaatakowała. Wiedziałem, że to musi nastąpić – i wiedziałem, że w tym uderzeniu przewyżczy naturalne ograniczenia ludzkiego ciała – a jednak zaskoczyła mnie. Jej skok był precyzyjnie wyliczony i nagły jak cios polującego kota. Miecz ze świstem zatoczył koło i jak wyrok śmierci pomknął ku mojej szyi. Nawet moje wyćwiczone zmysły ledwie zarejestrowały jego tor, ale instynktowny unik wyprowadził mnie spod srebrzystej, okrutnej gilotyny. Zdążyłem tylko poczuć przez moment zapach jej ciała, tak intensywny i tajemniczy, co wystarczyło, żeby moje zmysły rozpały się do czerwoności. Przez ułamek sekundy pozwoliłem wyobraźni, aby podsunęła mi obraz jej boskiego ciała, rozkosznie ociążałego w nadchodzącym zespoleniu – i natychmiast tego pożałowałem, gdy wyprowadzone z dolnej *secundy*, podstępne jak uderzenie żmii, cięcie zwane *scramacioni* omal nie rozplątało mi gardła. Końcówka miecza prześlizgnęła się tylko po mojej brodzie uwalniając czerwoną błyskawicę.



Moja przeciwniczka wykreśliła w powietrzu elegancki piruet i zatrzymując się w półobrocie, rozchyliła lekko usta w zadowolonym uśmiechu, wyciągając jednocześnie ostrze w moją stronę. Ujrzałem smugę swojej krwi natychmiast wsiąkającą w klingę, a moja dusza zawrzała gniewem i szaleństwem. Słyszałem zawodzenie pijanej rozkoszą stali Zguby i uderzenie własnej furii. Wyciągnąłem rękę i rozdarłem Osnowę, sięgając głęboko poza nią. Cienie w pokoju nagle zafalowały i wyciągnęły się w kierunku mojej dłoni, gdy przywoływałem i kształtowałem istotę Shadowblade'a, Miecza Cieni. Ostrze błyskawicznie sformowało się w moim ręku, wieszcząc swoje narodziny głosem przypominającym krzyk rozzwieranej stali. Nie wiem do końca, czym jest Shadowblade, ale nie obchodzi mnie to, dopóki przychodzi na moje wezwanie i służy mi pomocą. A może to ja służę Czarnej Klindze, wiecznie złąknionej ciepłej, ludzkiej krwi?

Jej kolejny cios przyjąłem już na swoje ostrze. Strzeliły fantasmagoryjne iskry, ślizgając się po krawędzi percepcji i obsypując nas złotoskrzącym deszczem. Shadowblade rozbłysł czernią w odpowiedzi na wrogie uderzenie, które przecięłoby każdą inną broń jak papier. Miecz Cieni nie pochodzi jednak z tego świata i nie podlega prawom nim rządzącym.

Błyskawicznie przeszedłem do kontrataku. Gniew był moją siłą, furia wypełniła ciało ogniem. Mój Miecz kreślił czerwone kręgi w powietrzu, wirując w oszalałym tańcu. Mój umysł połączył się z wolą broni w jedność, pozwalając się unieść jednoczącemu nas uczuciu. Poczulem euforię, jaką można znaleźć jedynie w zapamiętaniu i w dotyku odnalezionej doskonałości. Krok, dojscie i uderzenie. Taniec, po tysiącokrotnie doskonalszy od najbardziej wysublimowanego tanga. Blok i następująca riposta. Moje ciało samo odnajdywało odpowiednie ruchy, pozwalając by świadomość zajęła się delektowaniem samą walką. Byłem jednocześnie uczestnikiem i obserwatorem, częścią i otoczeniem, odwieczną dualnością. Pełne zespolenie, będące esencją sztuki szermierczej, tak poszukiwanej przez wszystkich mistrzów broni, ale wyniesionej na niedostępne zwykłym śmiertelnikom złączenie zmiennych, wielowymiarowych planów.

Zasypałem ją mrowiem ciosów, ale jakimś cudem zdołała ująć morderczemu uderzeniu mojego gniewu. Shadowblade raz po raz natrafiał na jasne ostrze Zguby, albo przecinał z zawiedzionym wyciem miejsce, w którym kobieta przed chwilą jeszcze była.

Zaskakiwała mnie precyzją i elegancją. Jej ruchy zdradzały jeszcze ślady ludzkiej niedokładności, ale widziałem coraz wyraźniej, że duch kobiety słabnie, ustępując złowroziej sile trzymanej broni. To nie było ostrze stworzone dla zwykłego człowieka. Chyba i ona to czuła, ale patrząc prosto w jej oczy widziałem, że oprócz lęku i niepewności, gdzieś w jej umyśle budzi się fascynacja i chęć poddania się i zatracenia, zatopienia w obezwładniającej ekstazie Przebudzenia.

Gdy ostrze Zguby przecięło skórę na mojej twarzy, w nagłym wybuchu wściekłości chciałem od razu zabić. Unicestwić i zniszczyć moją przeciwniczkę. Pragnąłem jej krwi, a moje myśli były echem zimnej żądzы Shadowblade'a. Teraz jednak uległem czarowi tej chwili, elegancji ruchów i wirującego szaleństwa obu ostrzy – i nas pomiędzy nimi. Oddałbym tak wiele, aby tak trwać, zanurzyć się w ekstazie dynamiki ruchu ...

Pozwoliłem sobie na chwilę dekoncentracji, co wystarczyło, abym znowu stał się celem kilku niebezpiecznych kontr. Jej srebrne ostrze było tylko o mgnienie oka wolniejsze od czarnego Cienia, którym władałem i nie powinienem pozwalać jej na zbyt wiele. Z drugiej strony jakże cudownie było zmierzyć się z takim przeciwnikiem, eleganckim, szybkim i niebezpiecznym. Jaką wyjątkową kobietą musiała być, jeszcze zanim położyła białe dłonie na rękojeści Zguby? Jaki wspaniały umysł musiał ukrywać się za skrzącymi się niebieskimi oczami? Jakże chciałbym poznać ją, zanim jeszcze przestała być zwykłym człowiekiem. Nawet jej palce były etiudą elegancji i piękna. Takie dłonie mają tylko geniusze i artyści. Prawie widziałem ją, jak pieszczotliwie muska nimi klawisze Steinwaya czy Bosendorfera, mknąc trudnymi pasażami, rozpinając dźwięki subtelnej muzyki, której można słuchać godzinami. Jaka szkoda, że nie spotkałem jej wcześniej...

jak cudownymi niedopowiedzeniami moglibyśmy rozmawiać, ilu znaczeń mogło się doczekać wspólne milczenie pośród powodzi gwiazd? A może moglibyśmy razem zanurzyć się w Sztuce, badać odwieczne tajemnice, niedostępne śmiertelnikom? Czy potrafiłaby zrozumieć tragedię Poznania i pozostać jednocześnie tą samą osobą? A może usiłuję właśnie zabić jedyną istotę, która może mnie zrozumieć? Rozkoszowałem się przeraźliwym smutkiem tej myśli, jednocześnie stawiając zasłonę za zasłoną, patrząc jej w oczy i próbując odczytać, co się znajduje za ich tajemniczym blaskiem.

- Jak długo zachowam w pamięci twój obraz, Nieznajoma, gdy już padniesz bez życia u moich stóp? – pomyślałem - Nie chcę, byś wyblakła, odeszła w cień jak tylu innych przed tobą, którzy usłyszeli w duszy mroczny zew Zguby. A jednak wiem, że nadejdą długie dni, miesiące i lata, które odbiorą mi ciebie. Czas - mój stary wróg - odbiera przelotną, złudność wspomnieniom, tak samo jak zaciera znaczenie starych fotografii.

Roześmiała się, jakby czytając mi w myślach i wyprowadziła kolejne cięcie, z maestrią, którą niewielu potrafiłoby docenić. Zastosowałem skomplikowany blok i wyprowadziłem ripostę. Sparowała i wykonała minięcie. Byłem na nie jednak przygotowany, więc przedłużyłem krok i po akrobatycznym wręcz pivocie udało mi się znaleźć za jej plecami. Poczułem znowu jej wspaniały, upajający zapach. Znowu słyszałem szum w uszach, znowu mój umysł wypełniła słodka, tajemna pokusa. W eleganckim obrocie, który wykonała znów zobaczyłem dotyk boskości.

Ale była tylko człowiekiem, więc zasłona, którą podnosiła była o mgnienie oka spóźniona.

Shadowblade sam skoczył do przodu i wbił się aż po mroczną rękojeść, przesywając zarazem ciało i duszę kobiety. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz, oczy rozwarły się szeroko, w milczącym krzyku żalu i zaskoczenia. Nasze spojrzenia skrzyżowały się po raz ostatni. W nagłym odruchu przyciągnąłem jej mdlejące ciało i przywarłem do niej w ostatnim pocałunku. W gasnących źrenicach ujrzałem błysk wdzięczności... a może tylko ujrzałem odbicie swoich pragnień? Trzymałem ją jeszcze przez chwilę, aż zwiotczała zupełnie w moich ramionach. Delikatnie ułożyłem ją na podłodze i ukląknęłem obok niej.

- Wybacz – szepnąłem, odgarniając znad czoła kosmyk czarnych jak noc włosów.

Shadowblade już odszedł, rozplynął się w powietrzu jak cień, którym był w rzeczywistości. Sięgnąłem więc po leżącą obok ciała Zgubę. Ostrze było teraz matowe, jakby świadome swojej porażki. Gdybym chciał, mógłbym spojrzeć przez Osnowę, aby ujrzeć złowrogie runy, którymi było pokryte. Ale nie chciałem.

Wstałem. Rozejrzałem się wokół i nagle zapragnąłem wykonać jakiś nieznaczący gest, pusty obrzęd, którego znaczenie rozumiałbym tylko ja. I może – ona. Wyciągnąłem rękę i ponownie rozsunąłem Zasłonę. Odszukałem w Nieskończoności to, co wydało mi się stosowne, po czym obróciłem się i spokojnie wyszedłem przez drzwi. Za moimi plecami, na stygnące ciało pięknej Nieznajomej opadały, pojawiające się w powietrzu delikatne płatki czarnych róż. Miałem nadzieję, że ona byłaby z tego zadowolona.

Ostrze Zguby ciążyło mi w dłoni, gdy wychodziłem ze starego, zapomnianego domu przy zapomnianej ulicy. Mówi się, że doskonała broń wykonana przez doskonałego mistrza może mieć duszę, jak człowiek. Problem w tym, że nie każda dusza jest przepełniona Dobrem.

Wojciech St. Mościbrodzki, 2006

Ps. Podziękowania dla Borysa Ajsona za pomoc w ustaleniu staronorewskiej wersji imienia Zguby Dusz